

Włodzimierz Korsak

część IV z IV

Sygnatura notacji: **N1364**

Data urodzenia: **10.02.1928 r.**

Data nagrania: **06.06.2019 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Lublin, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Karol Litwin**

Czas nagrania: **część I: 70 min, część II: 46 min, część III: 45 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 70 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Karol Litwin: Jaki był pana pseudonim w NSZ?

Włodzimierz Korsak: Dragon.

Karol Litwin: Okej. Czytałem, że też uczestniczył pan w czasie wojny w tajnych kompletach w Lublinie.

Włodzimierz Korsak: Nie.

Karol Litwin: Nie?

Włodzimierz Korsak: Ja uczyłem się w... Znaczy jak mieszkaliśmy na Trześniowie, dopóki nas Niemcy nie wyrzucili, to pani Starnacka przyjeżdżała, była przewożona i uczyła nas. To były tak zwane tajne komplety. Notowane... Na chór mogę powiedzieć, że jej syn młodszy, Jurek, ożenił się z siostrą Sarnowskiego. On wtedy był wykładowcą na KUL-u, polonistykę, a ona była studentką. No i pobrali się. Tak mówię, na uzupełnienie, skąd ta pani jest. Ta pani знаła osiem języków, biegle władająca. W każdym razie ona była bardzo wymagająca. Do tego stopnia, że... przypuszczam jeśli chodzi o łacinę, to moja siostra na głos się uczyła deklinacji i koniugacji. Ja natomiast, słysząc to, co ona mówi, a jeszcze do tego momentu, ten zakres był później przez panią Starnacką ustawiany, to ja mimo woli się nauczyłem. Pyta się, kiedy się uczył. Jak banda klepała jak pacierze, to ja zapamiętałem to. Może ja miałem bardzo chłonny umysł,

że bardzo szybko łapałem problemy nauki czy pracy. Natomiast na żadne komplety w Lublinie nie chodziłem. Byłem, pani Starnacka, a później w Żabiej Woli na kompletach tych prowadzonych przez pana Koszonkę, ta pani, która opiekowała się synem Lesia, Alikiem, ale ona znów, między innymi, francuskiego uczyła. Ja mówiłem, że to francuski język to tak jak gdyby, paplanie. Ale też trzeba było się czegoś nauczyć. No, koniec końców naukę to krótką bardzo miałem w Klementowicach, bo tam właściwie przygotowanie do egzaminu. Bo ci wykładowcy, kierownik był Niemiec, właściwie nie Niemiec, tylko folksdojcz, doszedł do wniosku, że kilkunastu nas nie ma sensu, żebyśmy zajmowali miejsca, tylko egzamin. Zdamy dobrze, jak nie, to będziemy się uczyć. No, ponieważ zdaliśmy wszyscy bezbłędnie, to był okres trzech czy czterech miesięcy, przy takim pokazaniu pracy swojej. Tak jak wspominałem, między innymi koledzy mieli problemy z kuciem konia, a ja nie. No, bardzo szybko żeśmy to zdali. Ja na żadnych kompletach w Lublinie nie byłem. – Nie uczęszczałem.

Karol Litwin: A jak pan złożył przysięgę już w Armii Krajowej, to jakie pan miał obowiązki tam, jako członek AK na placówce?

Włodzimierz Korsak: Na placówce miałem obowiązek ćwiczenia chłopców, czy członków obsługi broni. To znaczy rozładowywanie karabinu, rozładowanie na pierwsze elementy, składanie jego, czyszczenie, automaty. Sten bardzo dobrze się nosiło pod płaszczem. Bo wzdłuż ten Sten leżał... Sten z boku był wyciągnięty, był na lince, a magazynek z boku akurat miał gdzieś na wysokości biodra, tak że on pod płaszczem nie był widoczny. Rozbieranie Stena, składanie. Sten to był według mnie, to była prosta bardzo robota montażowa. Gorzej było, mieliśmy problemy, bo mieliśmy też i pepeszk. Ale to chyba dane nam były do ćwiczeń, bo dosłownie na 50 metrów celnie biła, a dalej to już spadały. Lufy już były tak rozstrzelane, że przegwintowane były chyba przez pociski. Z pepeszek, z bębna gorzej wychodziły ładunki, z rożka szybciej wychodziły. No, ale to może dlatego, że były rozregulowane, rozstrzelane. No, muszę, to nie, to on sam prowadził. Ponieważ ja znałem, ojciec przed wojną miał dwa pistolety, dwie dubeltówki, miał Nagana i Visa. Nie wiem, z jakich powodów miał, bo nieraz pozwalał mi czyścić, składać, to ja się bawiłem tym, w końcu też wziąłem to jako zabawkę. Z tą różnicą, że nie dawał mi ładunków, żebym ich ładował, bo mogłem niechcący wystrzelić. Ale był moment teraz, w wystrzeleniu taki moment był, że kiedyś w Żabiej Woli kaczki leciały. I to sporo kaczek leciało, tak ciągnęły się nad dworem, a deszcz taki był, taka brzydka pogoda, a ja nie zastanawiałem się, wziąłem dubeltówkę, okna były zamknięte, ja przez te szyby strzeliłem, dwie kaczki ubiłem, ale ponieważ ładunki były dymne, to w tym pokoju nic nie było widać, tylko pełno dymu. Kuzynki wpadły, nie ma mnie, nie wiedziały czy dubeltówka też jest tam i co się stało. Problem był taki, że gówniarz użył broni, szyby powybił, bo do kaczek mu się zachciało strzelać. Ale ciotka Rolandowa z rozwagą spytała się: „Ile zastrzeliłeś kaczek?” Mówię: „Dwie”. „– I co z nim robiłeś? – Do kuchni zaniósłem – To bardzo dobrze”. „Ja liczyłem się, że będę miał karę jakąś, nie wolno dotykać się do broni czy coś innego. Dlatego akurat przypomniałem sobie taki wyskok. A broń była nieoficjalna, były dwie dubeltówki, bo jedną dubeltówkę miał tylko leśniczy, było zezwolenie przez Niemców, a tu była nieoficjalna, po cichu była. Niemcy tak bardzo nie kontrolowali terenów. W mieście tak, ale na wsi, po majątkach gdzieś to... Owszem, na niektórych może, ale tutaj wiem, że nie przejeżdżali, nie widziałem nigdy ich.

Karol Litwin: A jakie pan pseudonimy pamięta z placówki?

Włodzimierz Korsak: Proszę?

Karol Litwin: Może jakieś nazwiska, pseudonimy tych ludzi z placówki z Żabiej Woli pan pamięta?

Włodzimierz Korsak: Nie, ja pamiętam imiona ich, ale nazwy, pseudonimów raczej... Wtedy bym... Załóżmy, przykładowo, mówię z rodziny Chamców. Jedynie to pamiętam Marek, który miał pseudonim, to był Bór. Ale Andrzeja nie, ojca, który był też rotmistrzem wojsk, też nie pamiętam. Ale jako humoreskę to może bym cofnął się jeszcze do czasu w Żabiej Woli, bo mi uciekło z pamięci. W 1943... W 1942 roku pani Sygietyńska i... Pani Sygietyńska, Zimińska i Sygietyński, bo nie to małżeństwo było, twórcy Mazowsza. Ponad rok czasu mieszkali w Żabiej Woli. I ona z młodzieży, pani Mira z młodzieży, chciała tworzyć taki zespół, coś w rodzaju późniejszego Mazowsza. Ale najpierw to tworzyła z nas grupę taką teatralną. Młodzi, pamiętam jakieś typu bajki, „Miś i słońce”, świnki jakieś, takie dziecinne, że tak powiem. Myśmy się uczyli tych ról, przebieraliśmy się. No i imitacja sceny, występy. No i pan Krzysztof Chamiec też uczył się roli, ale pani Mira doszła do wniosku, mówi: „Krzysiu, ty się nadajesz jedynie tylko do kurtyny, bierzesz teraz kurtynę, odślaniał i zaślaniał”. Ale później został aktorem. „Zabranie koni niemieckich z torów wyścigowych”, taka akcja. – Proszę. – „Kradzież niemieckich koni z torów wyścigowych”, coś pan pamięta taką akcję?

Karol Litwin: Skąd pan wyciągnął to?

Włodzimierz Korsak: Z pana życiorysu, ze związku. To ja mówię, mi to już wyleciało z pamięci. Przepraszam bardzo, to nie była kradzież. Konsekwentnie to było, jak to bym określił...

Karol Litwin: Rekwizycja.

Włodzimierz Korsak: Konfiskata. Z Markiem kiedyś rozmawialiśmy, z Chamcem, Lusia się wtedy przypatętał, mówi: „Zmieńmy konie”. Mówi: „Dobre konie mamy, więc o co chodzi?”. „Z torów wyścigowych, mają Niemcy takie fajne konie”. Co tym chłopakom w tym wieku powiedzieć? Rozeznanie zrobiliśmy, jacy wartownicy są, kto tam pilnuje, i kiedy Niemcy ćwiczą, a kiedy nie ćwiczą, kiedy jeżdżą. Lusia podniósł nas furmanką, a my tak jak do siebie weszliśmy, przy krótkiej broni, nie w automatach, tylko z krótką bronią. To było pod wieczór. Tych wartowników, dosłownie jak dzieci, wygoniliśmy do tego pomieszczenia, powiązaliśmy, zabraliśmy chyba wtedy osiem koni. Ale to jest jedna rzecz, to są konie wyścigowe. My jeździliśmy na koniach, które mogą przebiec 40 czy 50 km bez wysiłku, a koń wyścigowy po 30 kilometrach siada. My, owszem, zabraliśmy te konie. Za to raport był. Szaruga nas do raportu postawił, pozbawił, mówi: „Stopnie będziecie wy teraz do tyłu, samowolnie, bez uzgodnienia.” „Zachciało wam się koni i co jeszcze wam się zachce?” W głowie się wam już zaczyna przewracać?” Wiem, że jakiś odcinek mieliśmy przejechać. Druga rzecz, ja nie wiedziałem jak na koniu wyścigowym się jeździ. Jego nie można puścić na luz, jego trzeba cały czas trzymać w [niezrozumiałe], ściśnięty do siebie. On będzie biegł bardzo szybko, ale on wtedy inaczej. A jak mu puścić, to leci jak głupi. Tak jak gdyby pan w samochodzie, noga panu zdrętwiała i samochód pełną parą rżnie. Tak samo z nimi było. No i jednego konia zajęchałem na bardzo krótkim odcinku. No, padł. Ale to wie pan. Niemiecki koń jedynie siodło i [niezrozumiałe] zabrał. A dalej to niech się ktoś martwi z tym. No były takie, jak tak powiem... Generał Dąbrowa z Armii Krajowej. Był pan w grupie osłonowej. Proszę pana, to trzeba najpierw zacząć

od tego, że pan generał, nie wiedząc o tym, że on jest generałem... Mój ojciec był nie to, że namiętym karciarzem, bardzo chętnie i często grywał w brydża. U państwa Koryzów, na Ponikwodziu, dzisiaj tego majątku nie ma. Kiedyś ten dwór tu stał na wzgórzu, był zbudowany w kształcie krzyża. Drewniany, parterowy, zbudowany w kształcie krzyża. Przez okno można było nogę przyłożyć i wejść na dwór, bez żadnej trudności, bo to nisko było. Wiem, że jak nieraz przyjeżdżałem do Lublina, z Żabiej Woli, panowie grali w brydża. Między innymi ten pan też grał. Znałem go z widzenia, ale kto to jest, że mnie ktoś nawet zarzknął, nie powiedziałbym, bo nie wiedziałem o tym. Sam rozkaz Koszałko mi przekazał, a właściwie w majątku był w czasie tym, jak Rosjanie, bo tu też o Rosjanach trzeba będzie wspomnieć. Był okres czasu w 1944 roku, że Leś chciał zabezpieczyć, żeby ktoś zarządzał majątkiem i przyjechał ten pan, który był w randze majora, jak się później dowiedziałem, pan Kilbach. On był członkiem NZS-u z Warszawy. Nazwisko to pamiętam, że Kilbach. Czy to było lewe nazwisko, tego też nie wiem. Wtedy jak ktoś powiedział NSZ, to nie wiedziałem, co to jest za organizacja. Nie kojarzyłem wtedy w ogóle nic. I on w porozumieniu z Koszałką powiedział, żebyśmy ja pojechali do Lublina i trzeba będzie przewieźć parę osób. Jakich, to nie wiem. Dali mi sygnał, jaki mam podać i odzew, jaki mam uzyskać. Zajęcia koni, które zawsze jeździły do Lublina, to były Narutowicza 13, za dawnym... Później to była jakaś tam szkoła od Urszulanek w dół Narutowicza. To był budynek Rolandów, a w głębi były stajnie. Tam z koniem jak przyjeżdżały bryczki czy powozy, tam konie stawiały. Ja przyjechałem, postawiłem konie. Była godzina 3:00 czy 4:00, chyba 4:00 godzina. Powinien ktoś się do mnie zgłosić. No, czekam. Bez furmana, tylko sam jako furman pojechałem. Bez żadnej broni, bez niczego. No, przychodzi pan Michał Koryzna, którego znam z Ponikwody, syn państwa Koryznów. Pokręci się, porozgląda się. Mówi „Co, sam jesteś, innych koni nie ma?” „Nie, ja przyjechałem. To są moje konie, z Żabiej Woli?” „Nikogo nie ma.” I taka rozmowa, ni w pięć, ni w dziewięć. Później po jakichś paru minutach znów on przychodzi. Mówi: „Tu nikt nie wjeżdżał, furmanka tu miała być albo bryczka.” Mówię „Nie ma żadnej bryczki ani nic, tylko konie moje są”. Za trzecim razem przyszedł i podaje mi dopiero hasło [niezrozumiałe]. Mówi: „Nie mogłeś się wcześniej odezwać?” Ja mówię: „A skąd ja mogłem wiedzieć? Znamy się dobrze”. Z lat tych, jak mieszkaliśmy w Trześniowie, bywałem często u nich, on przyjeżdżał. Niemcy jak nas wyrzucili, pomagał mi kraść własny cukier. W sumie zapomniałem o tym powiedzieć. Kradłem własny cukier, bo Niemcy mieli zewidencjonowany, bo za uprawę buraków cukrowych cukrownia wydawała albo deputat pieniężny i część cukier. W kostkach takich po 40 kilogramów, takie pudła drewniane, skrzynki drewniane i ten cukier był w kostkach. Myśmy ten cukier kradli, bo Niemcy spisali, że to jest deputat już. W nocy także Niemiec nie wiedział. Znałem go dobrze, tu przychodził 3 razy i zapytał się czy jest. Taka była sytuacja. Jak za trzecim razem powiedzieliśmy swoje „slagony”, które powiedzieliśmy na początku podać, no, przyprowadzam i pana. Znajomi mi ten pan gra z ojcem w brydża. Kto to jest, nie wiem. Mam przewieźć, to przewożę. Przywożłem ich do Żabiej Woli, zjedli kolację, przespali się, na drugi dzień po południu, gdzieś też tak, gdzieś koło 4:00, nie w dzień. Za Krasnystaw, gdzieś zawiozłem ich. I tam przesiedli się na inną bryczkę i pojechali w Zamojskie. Wtedy nie wiedziałem, kto to jest. Przywozić, przewieźć, to przywożłem. Taki rozkaz był, koniec. Chciałem trochę o Lublin zapytać. O tych akcjach w NSZ. Pan opowiedział o akcji w sądzie, o dwóch w banku. Jeszcze jakieś pan pamięta, żeby wymienić, albo jak przebiegały? Browar, nie wiem czy to wtedy Jeleń był, czy Jana Kunickiego. Tam była akcja, ale tam bardzo króciutka, tak że dosłownie ja byłem na obstawie, a oni byli w środku. Tam był Rysiek i chyba Gienek Marcinczak, nie pamiętam jego nawet pseudonimu. W każdym razie bardzo szybko oni wyszli. Myśmy z obstawy czekali, oni wyszli to raz, dwa, to rozdzieliliśmy się. Ale to były króciutko. Mówię, najdłużej to było właśnie w sądzie. Tam to było długo i niepewnie. Wiem, że... Przypominam sobie, że że dostaliśmy nową, znaczy dodatkową broń. „Rosa” wtedy przyniósł, trzeba było ją prze-

strzelać. To były jedno parabellum szturmowe, z taką długą, z magazynkiem na naboje, na ładunki i z dużą lufą. I w drewnianym takim futerale to było, nie w skórzanym, kabura, tylko drewniana. Drugi to był tak zwana Hiszpanka. Ona miała chyba 14 czy 16 ładunków, nie pamiętam dokładnej ilości. I trzeba było je przestrzelić. No to poszliśmy na dzisiejszą Głęboką, tam były pola. No i gdzieś myśmy jakieś gazety tam pożyczyli. Próbowaliśmy strzelać, czy dobrze strzela, czy celnie. W którymś momencie któryś z chłopaków krzyczy: „Tyrallierka nad głowami!”. Nie wiem czy to wojsko było, czy to KBW, czy milicja. Zaczęli w kierunku nas strzelać. Nie wiem jakie mieliśmy nogi, że stamtąd uciec. Przecież mogli jak kuropatwy nas wystrzelać. Przecież oni byli na wzgórku, a myśmy w dole byli, pod górkę biegliśmy. Uciekliśmy aż pod Zemborzyce. Pamiętam jak gdzieś wpadłem na jakiegoś listonosza, który jechał na rowerze. To nieświadomie przewróciłem go. Chciałem go przeprosić, ale w prosty sposób wpadłem, mówię, jak ma rower, to na rowerze szybciej ucieknę. Zabrałem mu rower. Rower ten po drodze gdzieś zostawiłem. Nie zabierałem, tylko zostawiłem. Ale jak w strachu, jaki człowiek ma, jak szybko działa. Ale to też nonsens był, trzeba było gdzie indziej, nie tu, pod nosem. A to pod samym nosem, tam przecież róg Alei Racławickich, jednostka wojskowa. To mówię, jak kaczkę by nas wystrzelali. Strzelali tam. Ja słyszałem, ja mówię, jest jedna rzecz. Jak słyszę gwizd kuli, to ta kula mnie nie dotknie, To już ktoś przelatuje nade mną albo już mnie minęła. To słysząc wtedy świst. A kula, która może uderzyć, to wtedy się jej nie słyszy. A która już słysząc gwizd, to już przeszła koło mnie. Tak jak słyszałem, te kule gwizdzą koło mnie, to mówię, to już nic z tego. Tak, może poproszę, żeby pan wymieniał imiona, pseudonimy osób z NSZ-u, z którymi pan tutaj... No, więc jeśli chodzi o imiona, to pamiętam. Natomiast jeśli chodzi o pseudonimy, raczej nie, bo to byli tak koledzy dobrze znani, że myśmy między sobą nie używali pseudonimów. W czasie akcji najwyżej bezpośrednio nie mówiło się po nazwisku czy imieniu, czy pseudonim, tylko: „Słuchaj, zrób to, czy tamto”. Bezpośrednio, bezosobowo. Natomiast ostatnim dowódcą był Sławek, Jarosław Olejnicki, popularnie nazywany Sławek. Zastępcą jego był Rysiek, nazwiska nie pamiętam. On był przewodniczącym ZMP czy prezesem ZMP. W każdym razie jego ojciec wiem, że pracował jako ogrodnik w cieplarni, prowadził cieplarnię w diecezji biskupiej, bo ja tam parę razy nocowałem początkowo w tych cieplarniach. Gienek, musiałbym się głęboko [niezrozumiałe], żeby przypomnieć jego nazwisko. Później kierowca był z wojska. No powoli mi tak uciekają, musiałbym sobie dobrze przypomnieć. On z wojska uciekł, dezterter z wojska, był w jednostce wojskowej w Zamościu. Był kierowcą z zawodu. Gienek Marcinczak, powoli mi pamięć zaczyna wracać. Natomiast ten kierowca, też sobie przypomnę. I jeszcze był Olejnicki, tak Olejnicki. Oleksiński. No, ale był krótko on. Ja się śmiałem z niego, że on należał do, bo razem z Gienkiem przysięgę składali, pamiętam, w kawiarni. Ale on był straszny poruciarz. Ja mu parę razy przyciąłem paskudnie, mówię: „Idziemy na akcję, ale ty masz chyba nie te spodnie”. Bo mu nogi się trzęsły. Był starszy ode mnie, ale jak idąc, być może byłem na jakiejś akcji, ja nie odczuwałem żadnego strachu. Raczej byłem opanowany. Nigdy nie miałem jakiejś obawy, że coś mi się stanie. Byłem pewny, że to wszystko wyjdzie dobrze. Ale on właśnie taki był trochę, jak ja mówię nieraz, „porzucony”. – A Gienek to był Marcinczak.

Karol Litwin: Ile osób liczyła cała grupa?

Włodzimierz Korsak: Proszę?

Karol Litwin: Ile osób liczyła grupa?

Włodzimierz Korsak: Liczyła, jeszcze był też z boiska zdezerterował, ze Lwowa. Ale nazwisko mi jego też wyleciało już z pamięci. On i później Regina z Informacji Wojskowej była, też tak samo w NSZ-cie. W śledztwie jakby się dowiedzieli, że ona w Informacji była pracownikiem to chyba by czapę dostała. A pamięta pan przysięgę w NSZ-cie, swoją? Nie, swojej przysięgi nie składałem. A tych dwóch kolegów w kawiarni, gdzie to było? To było na Narutowicza w kawiarni. Bo ja byłem zwolniony, bo składałem w AK. Więc ja myślałem, że tu trzeba, ale „Rosa” powiedział, że jak składałem w AK, to nie potrzeba. „Rosa” był przy tym. „Rosa”, Sławek. Ja byłem świadkiem, jak oni składali.

Karol Litwin: A o „Rosie” może pan coś opowiedzieć? Jakim był człowiekiem? Jak pan go pamięta?

Włodzimierz Korsak: Ja go pamiętam zawsze taki zrównoważony, młody człowiek. Na czarno przeważnie ubrany, na ciemno. Krótko zawsze, wężłowato jakieś polecenia dawał. Jakies przekazywał informacje nam. Nie wdawał się w jakieś bliższe komitowy, czy przypuścmy, pójdziemy do kawiarni coś posiedzieć, czy pójdziemy do restauracji, bo gdzieś musieliśmy się w restauracjach stołować. Nie wszyscy razem, tylko pojedynczo, żeby nie w grupie. Jeszcze nawet, gdy jesteśmy w tej restauracji, to w odrębnych gdzieś stolikach, nie w pobliżu. Na akcję otrzymywaliśmy broń. Natomiast po akcji przeważnie „Rosa” zbierał broń. I ta dziewczyna, która z nim była, czy to była łączniczka, czy to była przyjaciółka jego, śmialiśmy się, że to może być nawet więcej jak przyjaciółka. Ale to tylko takie były domysły. Jak wspominałem, jak w Krakowie nas aresztowali, to ich w Krakowie nie aresztowali. Kiedy później został w Lublinie aresztowany, – czy gdzie indziej, to ja nie wiem. – Był aresztowany później. Wiem, tylko przeczytałem później kiedyś, że dostał wyrok śmierci i że został rozstrzelony w Warszawie. Ale to chyba zemsta z Bieruta za Wierzchowiny. I właśnie chciałem o Wierzchowiny pana spytać. Bo to było w czerwcu 1945 roku, wtedy, kiedy pan jeszcze był w Lublinie.

Karol Litwin: Czy słyszał pan coś o tej akcji wtedy? Po wszystkim, jak już było?

Włodzimierz Korsak: Ja słyszałem z tych wypowiedzi, bo „Rosa” mówił, że tam byli ludzie, którzy, nazwijmy w prosty sposób, byli konfidentami. Może to nie było w pełnym słowa znaczeniu, że chodził i donosił, tylko chciał się wykazać czymś. Czy miał złość na kogoś i donosił, że ten należy do organizacji i ta organizacja jest przeciwko Polsce Ludowej. Tak przypuszczam, mieliśmy takie informacje, że niektórzy wydawali swoich sąsiadów. Był podobno rozkaz, żeby tych konfidentów kilku zlikwidować. Natomiast to, co później w Wierzchowiskach się stało, to na przestrzeni czasu, to mam wrażenie, że to był oddział radziecki. Bo trudno sobie wyobrazić, żeby oddział NSZ-u wjeżdżał z harmonią, z jakimś graniem na teren wsi i jakieś granie najpierw na samym początku. Znając Rosjan, to było u nich na porządku dziennym, gdzie były możliwe, to chętnie występowali z harmonią i z graniem. I że oni tam zrobili pogrom. Na tyle, co ja wiem. Natomiast muszę cofnąć się na temat Rosjan, bo to na terenie Lubelszczyzny działała grupa Kołpaka. Może imię to było jego, czy może pseudonim Asabie, czy Asabiew. I oni działali na terenie Lubelszczyzny, może dalej. Między nimi to wiem, że oni mieli jakieś miasteczko, proszę mi tylko podpowiedzieć, tutaj mniej więcej między Kockiem a Parczewem. – Taka mała miejscowość...

Karol Litwin: Ostrów Lubelski?

Włodzimierz Korsak: W Ostrowie Lubelskim. Tam w czasie okupacji był posterunek granatowej policji. I oni dokonali,

tam było kilku policjantów i folksdojcz, zdaje się, dowódcą. Dokonali wielkiego czynu, bo ten poserunek niemiecki przez całą noc do rana nie mogli wywalić. A w końcu oni, ci policjanci granatowi, nie mieli już amunicji, poddali się. No, to wtedy weszli do środka i rozstrzelali ich. Co to za jakiś wyczyn wielki? Jak już bezbronny jest, to wtedy go po prostu zabić. No, ale to różnie bywa w czasie wojny. W każdym razie oni, był taki moment, że w 1944 roku w styczniu albo lutym, chcieli się do majątku, w Żabiej Woli dostać do środka. Co ich to obchodziło? Kupę starszych osób, starsze panie, tam nie było żadnych, w lesie też tak samo nie było, kilka starszych pań było. Znaczący ciotki w wieku 70-ciu kilku lat. Koniecznie oni chcieli się dostać do środka, ale ponieważ, jak wspominałem, tam były dwie dubeltówki, nierejestrowane. To był Lokaj, Wacek i Janek. Przez te dubeltówki ostrzeliwali się. Tam Panu Bogu w oko mogli tam strzelić, żaden dobrze nie strzelał. Śmiałem się zawsze z nich. Ale Wacek nieumiejętnie wyrzucił granat niemiecki, ten obronny fluczek, i odbił się od futryny, i nad głową jego wywalił. Tak że zginął na miejscu. No i po tym wypadku wszyscy się stamtąd wynieśli. Wszystkie ciotki wyniosły się do Lublina. Natomiast ta grupa, kiedyś często zatrzymywała się u rządcy, bo budynek rządcy był poza dworem, daleko od dworu. Ja, będąc już w Żabiej Woli, ponieważ młodzież tam była, to przeważnie tam byłem, tam nocowałem, tam gdzieś razem z rządcą, że tak powiem, na stołowaniu byłem. No i któregoś razu przyjeżdża właśnie grupa Kołpaka, już tam było ich sześciu. No i tam dawaj gorzałkę, dawaj popić i coś, żeby przekąsić. No, to jakoś tam bimber gdzieś pan Kirkor wyciągnął, no i polewa. Kołpak w pewnym momencie do mnie się pyta, która godzina. No tyle rosyjskiego znałem, to powiedziałam, na rękę mam, pokazuję mu. A ja głupi, zamiast mu pokazać zegar, który wisiał na ścianie, mówię: „Masz zegar, zobacz sobie”. Pokazałem mu, „Pokaż mi ten zegar”. No to zdjęłem z ręki i podałem mu. A on mówi: „To jest germański, bo to jest cyma”. Ja mówię: „Ty duraku, cyma to jest szwajcarskie, a nie, to jest trofiejny”. Od słowa do słowa on zabrał mnie. Pod suwak munduru, tu jest kilka, cztery czy pięć zegarków. Mówię: „Na cholerę ci to?”, już zaczynam ze złości kląć. Mówię: „Na cholerę ci ten zegarek, mało ci?” „To jest trofiejny”. No, to ja powiedziałem, że jest złodziej, bandyta, „Ty nie jesteś partyzant ruski”. A to, przecież to był NKWD-owiec, nie zwykły żołnierz, NKWD-owiec. „Pod ścianę”. No, to wyprowadzili mnie. Całe szczęście, że w tym czasie fernala szli z obrządku koni. No i mówią, że... Popularnie się, wie pan, wtedy nazywało, że syn albo jakiś kuzyn właściciela majątku jest panicz. Ktoś tam krzyknął: „Panicza nam chcą zabić”. No jeśli ja był w stosunku do tych ludzi, jakiś zły, dokuczliwy, to mówię, „pies go trąca, to niech go zabiją”. Jak usłyszeli, to tylu ich było, wszyscy przybiegli z gołymi rękami. Mówi: „Jak go zastrzelicie, to wy ani koni, ani życia stąd nie wyjdziecie”. A mówi: „– Czego? – Bo to jest nasz panicz, macie go puścić”. No, puścili mnie. Ale zegarka nie oddał. To mówię: „Dawaj bumagu”. Na tyle rosyjski, co znałem, to dawaj bumagu. No napisał mi. Przecież mnie Niemcy jakby zatrzymali z tym, z tą pieczątką, to do obozu bym trafił. Jak młody człowiek, który nieraz czasami nad... Miałem to gdzieś zaświadczenie, ale nie mogę go znaleźć. Ale po rosyjsku pisane z pieczątką. W 1960 roku którymś, czy 1970, ja już nie pamiętam dokładnie roku. Kiedyś w prasie czytam, między innymi, że on będzie na spotkaniu w sztabie, na Spokojnej, na Spadochroniarzy, przepraszam, że będzie spotkanie kombatanatów przy jego wydziale, a on już w randze generała. Ja mówię, no, to sobie pożyczył. Na rękę sobie powsadzał, mówię, to teraz ja porozmawiam z nim. Wiek przybył, ale natura zawsze pozostaje... No zadzwoniłem, prosiłem o spotkanie, czy dadzą mi zaproszenie. Jako kombatan, proszę bardzo. Byłem na tym spotkaniu, wszedłem, to po cywilu, kilku po mundurach. Mówię, czy ja go poznam, czy nie? Przyglądam się, ale tak patrzę, no tak, Kolka ten, Asabiew. No, to mówię, bo mówi... Kolka też używał imienia. No, mówię, ten sam, tak z tyłu jak stanąłem za nim i tak ręką tak, po ramieniu. Mówię: „Dawaj, jop, twoje maćczasy”. Konsternacja. Cywil do generała, który też jest po cywilu, koło niego skaczą, jak koło zgnitego jajka, a tu jakiś przyszedł chłystek, wysoki to był, a wtedy jeszcze wysoki byłem, bo jeszcze kręgosłup był zdrowy. No, jak

go ręką strzeliłem po ramieniu, a ten się odwróci i przygląda mi się. Mówi: „Kto ty jesteś?” A mówię: „Nie znajesz?” A mówię: „Żabia Wola, czasy, to co, Cyma ty pamiętasz?” To on patrzy, zdejmując zegarek z ręki, masz, dawaj, całuje się, obejmuje, a ci patrz, no. Przed chwilą konsternacja, żebym go tak spostonował. No, mówi: „Jaki zegarek chcesz, czy ten, czy jakiś inny?” Ja mówię: „Nie chcę żadnego zegarka, tylko chciałem ciebie zobaczyć, jak ty wyglądasz”. Mówię: „I co, cymy zabrałeś, trofiejny?” Nie wstyd ci? Nie gadaj tyle”. No, głupio było przy wszystkich ludziach, jak mu to wypominam. No, taka była, więcej nie utrzymałem z nim stosunków, wtedy tylko. On chciał, żeby... Do Moskwy zapraszał, że tego, nie, nie, mnie wystarczy w Polsce. Łaski mi nie chce. Ja tak, wie pan, przypomniałem sobie ich działalność. Oni mieli, przecież taki rosyjski wywiad, jaki u nas był, inteligencja, wszyscy AK-owcy, którzy cokolwiek działali, skąd oni o czym wiedzieli? UB tak wiedziało? Nie. Oni mieli to wszystko. Oni to robili. Nie prowadzili żadnej działalności partyzanckiej, bo tam kiedyś w Ostrowie trochę postrzelali i przez całą noc nie mogli paru policjantów wywalić z tego domu, z tego budynku. No, tak że oni prowadzili działalność konspiracyjną, lekarze, inteligencja, adwokaci, członkowie różnych organizacji. AL-u nie, nie ruszali. BCh nie ruszali. To były w porządku. To były bardzo [niezrozumiałe] prawidłowe. Teraz chciałem pana spytać o to, co wcześniej już pytałem. O tym, jak wyglądało życie w Lublinie, jak pan był wtedy w NSZ-cie, poza akcjami, czyli nie wiem, gdzie mieszkaliście, jak się utrzymywaliście, jak było z zaopatrzeniem, z jedzeniem, jakieś meliny, punkty kontaktowe? Myśmy utrzymywali, nazwijmy to, deputat finansowy, już nie pamiętam, czy to była dzienna racja czy tygodniowa. I z tego musieliśmy się utrzymać, wynająć sobie mieszkanie, czy spanie, życie. W określonych godzinach mieliśmy się spotykać. Nie to, że ktoś nam chodził i szukał nas, tylko w określonych godzinach. Główny kontakt to był na ulicy dzisiejszej Piłsudskiego, w kawiarni ciotki. Tam była herbaciarnia. Można było wejść od strony ulicy albo od podwórka, zależy jak, komu gdzie pasowało. Przeważnie myśmy wchodzili od podwórka, bo wtedy nie rzucało się w oczy, bo tak wchodzi do kawiarni czy herbaciarni, kiedy wychodzi. I tam były kontakty. Na określoną godzinę musieliśmy się spotykać. Pojedynczo przychodzić, nie grupą, nie we dwóch, czy w trzech. No i albo Sławek, albo „Rosa” dyspozycje dawał nam. Czy mamy wolne, czy mamy coś robić, czy coś przygotować.

Karol Litwin: Mieliście lewe dowody tożsamości?

Włodzimierz Korsak: Tak.

Karol Litwin: I to kto dostarczał?

Włodzimierz Korsak: To robił ojczym Sławka Olejnickiego. On bardzo dobrze podrabiał wszystkie podpisy. Normalnie myśmy mieli kenkarty. Kiedyś, za niemieckich czasów, to była używana jako dowód osobisty, kenkarta. To była ze zdjęciem, danymi personalnymi, odciskiem palca. I to były dowody lewe. On to wykonywał bardzo dobrze. A gdzie to robił, tego też nie wiem.

Karol Litwin: Taki pseudonim na przykład jak „Wujek”, coś panu mówi?

Włodzimierz Korsak: Proszę?

Karol Litwin: „Wujek”, taki pseudonim, „Zenon”.

Włodzimierz Korsak: Nic nie bardzo już... – Nie, nie kojarzę. Ja wiem, ja mam jedną rzecz. Zanosząc pieniądze, czyli idąc na Biernackiego, tam spotykałem różnych panów, nazwijmy, starszych panów. Nie młodych, tylko starszych. Kto to był? Nie wiem. Czy to byli znajomi spotkani przypadkowo, czy to byli dowódcy NSZ, też nie wiem. Wiem, że tam byli. Nieraz spotykałem, bo ja nieraz tam nosiłem z „Rosą”. Nie wiem, czy Rosa miał jakieś zaufanie do mnie, czy co, że wołał, żebym ja to chodził z nim.

Karol Litwin: A Zakrzewski, pseudonim „Patent”? Kojarzy pan takie nazwisko? Jak miał na imię? Zbigniew Zakrzewski. „Patent”

Włodzimierz Korsak: „Palant”. W Krakowie razem zdjęty z panem. A to ten, Zbyszek Zakrzewski, to był... On uciekł z wojska. Dezerterował ze swoją przyjaciółką Reginą. – Z Informacji. – Ona z Informacji. Z pamięci mi wylatuje czasami. Ale też nie żyje. On nie żyje. Tak, w 2012 roku.

Karol Litwin: O tę ucieczkę z więzienia chciałem zapytać. Jak to po kolei wyglądało? Jak pan się wydostał z celi, na dach?

Włodzimierz Korsak: Drzwi były stare. Nie wiem skąd. Czy ktoś nam podrzucił. Ja nieraz się zastanawiałem, czy myśmy koło tego zamku, czy były tak już stare drzwi, spróchniałe, że dosłownie wydłubywane było drzewo. Nie klucz, tylko drzewo wydłubane. Dwóch wartowników było, więcej było wartowników, tylko dwóch z karnej kompanii było. Czy oni wyroki dostali, czy oni uciekli? Też nie wiem. Czy oni może dostali wyroki za pomoc? Ilu nas uciekło? Nie wiem. Nigdy sobie nie mogłem się, że tak powiem, doczytać, czy dowiedzieć się, ilu to było. W każdym razie Rysiek mówił, że w sąsiedniej celi i u nas są, w naszej celi są chłopcy od „Ognia”, który działał na Podkarpaciu. Chociaż on też tak samo, później słyszałem, niezbyt przyjemny był w otoczeniu, kontrowersyjny, tak samo jak i ten Łupaszko. Też tak samo, z Wileńszczyzny, też tak samo. Potrafił strzelać do ludzi jak do kaczek. No w każdym razie, oni proponowali, że chcą uciekać, że mają kontakt z „Ogniem”, ich dowódcą, że będą robić ucieczkę. Czy my się dołączymy? No mówię tak, dołączymy się. Najlepszy przykład odwagi Oleksińskiego, że jak pierwsze strzały padły, to z tego muru zamiast skoczyć na dół, to skoczył z powrotem do więzienia. I kocem się ... Później opowiadał, przykrył się kocem i w słomy się zakopał, że on nie uciekał. Odważny był. Mówię: „Czego się bałeś?” No, tak nieraz czasami bywa. Wiem, że prycze drewniane, które były w niektórych celach, to były wyniesione. Jak oni z sąsiednich cel wydostali się, tego nie wiem, ale w każdym razie wartownik chodził u góry, a tu były w dole te cele. Więc te prycze drewniane, jedno na drugie się poustawiało i ktoś sprytniejszy, zwinniejszy najpierw wydostał się na górę i tam prześcieradła, które nie wszędzie były powiązane i po tych prześcieradłach do góry się wychodziło. Wiem, że miały być w ten sposób, że „Ogień” miał samochodami wjechać do centrum, przewożąc więźniów rzekomo do więzienia. Trudno w nocy to robić, ale różnie to bywało, bo to było gdzieś przed 12:00. Te samochody nie dotarły. W pewnym momencie, jakieś zaczęły się pojedyncze strzały, jeden z tych dwóch wartowników z karnej kompanii pomógł. Znaczący nie strzelali, jak wychodziliśmy na górę, oni się wycofali. Rysiek mówił, że z karabinów im powyciągał zamki i powyrzucał. Był moment taki, że ja na brzegu tego bastionu kucnąłem i z daleka widzę w świetle reflektorów jezdnię i jakieś drzewo.

Mówię, że to już tak bliźniutko, że już może będzie wolność. Usłyszałem serię, z automatu czy z karabinu maszynowego, seria taka poszła i pojedyncze strzały. Ktoś koło mnie był, czy on kucnął tak samo jak ja, czy chciał położyć się, czy rzucić się na ziemię, żeby uniknąć zranienia. A ja na brzegu tego bastionu kucnąłem. Prawdopodobnie on mnie chyba niechcący popchnął. A ja poleciałem tak, nie znając, jaka to jest wysokość. Na zdjęciu to widać, jak to jest wysoko. W każdym bądź razie miałem wtedy postrzeloną lewą dłoń i złamaną podłuznie prawą nogę. Uratowały mnie oficerki, że mogłem iść. Znaczy iść, uciekać.

Karol Litwin: A czy Olejnicki uciekł? „Jar” też wtedy uciekł?

Włodzimierz Korsak: Nie uciekł, bo został.

Karol Litwin: On wtedy wrócił, tak?

Włodzimierz Korsak: Proszę?

Karol Litwin: To on wtedy wrócił, czy to Oleksiński?

Włodzimierz Korsak: Nie, on nie uciekł, bo później mi opowiadał, że uważał, że jako dowódca nie może sam uciekać, zostawiając swoich ludzi w więzieniu. Ale nie wiem ile w tym prawdy, a ile jest tylko przenośnie.

Karol Litwin: On był z panem w celi razem?

Włodzimierz Korsak: Tak. Nie było takiego momentu, że był wywieziony na kilka dni z więzienia? Nie kojarzy pan czegoś takiego? Nie, do ucieczki nie było takiego czegoś. Nie było. W tym czasie nigdy jego nikt nie wywoził. W ten czas. To może było później po ucieczce. Chciałem jeszcze zapytać o ten czas we Wrocławiu. Nie wiem, akcja na pocztę w Poraju, pod Częstochową. To był pomysł Rajczyka, Jorka. To było dobre, korzystne, bo chcieliśmy przygotować jakąś akcję poważniejszą. Jak Rajczyk mówił, to ja mówię, że trzeba przygotować jakąś akcję poważniejszą i zrobić nie na terenie, pod nosem. To było bardzo łatwo znaleźć, wpaść mogło. On zaproponował pocztę na Poraju. Ja w ogóle nie znałem tego, tylko przedtem pojechaliśmy pociągami i piechotą doszliśmy do poczty. Przedtem jeszcze, nim weszliśmy, sprawdziłem połączenia kolejowe, bo tu można było do Częstochowy, albo w odwrotnym kierunku, bo tak się pociągi mijały w tym czasie. Ile czasu nam zejdzie dojścia i powrotu. Z tego kierownika poczty, to w trakcie akcji wpakował do piwnicy, bo tam w tej części poczty była piwnica. Szafą się zasłoniło, przygniotta, że nie mógł wyjść. Przewody zasilające, elektryczne, przecięte, żeby nie mogli dzwonić. No i zamknęliśmy ich w poczcie, za kratami ich. I bardzo szybko wróciliśmy na dworzec kolejowy. Po tym wszystkim, ja liczyłem się z tym, że trzeba przygotować, jak już się zaczyna, przygotować jakiś przerzut, bo była bardzo długo [niezrozumiale] przez Kłodzko przerzuty na Czechy. Żeby się tam dostać, trzeba mieć jakieś środki lokomocji, pociąg, to różnie bywa, kontrole w jezdni, na szosach, to mało kontroli było, więcej było po dworcach. Mówię, trzeba będzie kupić samochód, i samochodem będzie można przerzucać. No i kupiliśmy, znaczy ja kupiłem samochód. Nie mając prawa jazdy, prowadziłem samochód, bo się nauczyłem, że mi wolno prowadzić traktor, Lanz Bulldog. To ciężkie było do prowadzenia, ale się, wie pan w swoim

życiu różne rzeczy robiłem, nie mając pełnego przygotowania. Tak samo jak prawo jazdy zdobywałem, to nie byłem na żadnym kursie, na żadnym szkoleniu, kazali mi znajomi: „Siadaj”, instruktor, który egzaminował: „Siadaj pan za kierownicę”, siadłem, „Cofnąć się, przy krawężniku stanąć do przodu, ósemkę, koło zrobić”, tak samo kwestia, na motorze jazda, to nie to, że przypuścimy, mam sygnalizację, tylko trzymać kierownicę, i ręką, wyciągniętą prawą czy lewą, pokazywać gdzie chcę skręcić, i ósemki, bez żadnych trudów to robiłem. Bez przygotowania, bez kursu, zdałem bezbłędnie, tak że nieraz czasami w życiu tak mi się układało szczęśliwie.

Karol Litwin: A udało się panu kogoś przerzucić do Czech?

Włodzimierz Korsak: Proszę?

Karol Litwin: Udało się panu kogoś przewieźć do Czech?

Włodzimierz Korsak: Nie, nie udało się. – Już aresztowali potem. Znaczący, Wacek, nie Wanik tylko... Nowak, Marian, pracował w służbie remontowo-budowlanej wojskowej, które prowadziły roboty koło Kłodzka. I stamtąd ja wyciągnąłem od niego, no mówiłem, że wyciągnął blankiety przepustek, bo oni wydawali przepustki na pracowników fizycznych. Ale to było wszystko przygotowania, nic jeszcze nie było zrobione. To były takie... Przygotowanie do ewentualnego przerzutu, dokumenty ściągnąć, jakie trasy, którędy można będzie przewieźć. – No, ale nie wyszło.

Karol Litwin: Porwanie samolotu?

Włodzimierz Korsak: Nie, to porwanie samolotu to była taka szczeniacka fantazja. Ja w niej udziału nie brałem, ale jak usłyszałem, to powiedziałem: „Wybijcie sobie z głowy, – bo to nic z tego nie wyjdzie”.

Karol Litwin: Czyli tylko takie były plany?

Włodzimierz Korsak: To tylko iluzja jakaś, bo raz, że żaden nie umie prowadzić samolotu, nie zna się nawet na nawigacji, i co, wylądujesz gdzieś, i co dalej? Gruszki na wierzbie? Ja powiedziałem, że to jest nonsens. To chciałem jeszcze dwa pytania zapytać. Jedno to już po wyjściu z więzienia, bo często się zdarzało, że te osoby, które wyszły z więzienia, były inwigilowane, potem wzywane często. Na samym początku miałem polecenie, że po wyjściu z więzienia mam się zgłosić na komisariat i zgłosić, że wyszedłem z więzienia. Mój ojciec w tym czasie pracował w Oławie, pod Wrocławiem. Ja się zgłosiłem. I to było jedyne miejsce, gdzie się zgłosiłem. Więcej nie chodziłem na policję, znaczy milicję, nie zgłaszałem się. Miałem obowiązek podobno wszędzie, gdzie się przemieszczam, zgłaszać. Tego nie robiłem. Pies z kulawą nogą nie wiedział. Natomiast jak mnie zwolnili z PTTK, to UB zaczęło, później się zorientowałem, że to jest UB, wezwania, że mam się zgłosić do Urzędu Bezpieczeństwa. I zaczyna się maglowanie, kogo znam, kogo się spotykam, kiedy z kim rozmawiam. Ja mówię: „Z kolegami, którzy byli, spotykam się na ulicy i mówimy sobie „Dzień dobry, cześć, pracy”. I tyle było wszystkiego, unikałem bo nie wiedziałem, co to będzie dalej. Natomiast pan Szczepański, mecenas, mówił mi, że będę musiał coś powiedzieć, bo będą tak mnie męczyć, tak maglować, tak przetrzymywać, żonaty byłem, a wtedy nie miałem pracy, byłem bez pracy po odejściu z PTTK, że będę

szantażować, że zmuszą, a ponieważ mam warunkowe, nie mam pracy, to mogę z powrotem wrócić. No przecież to, co mam? A możesz powiedzieć, że ja słucham Wolnej Europy. I dla spokoju kiedyś powiedziałem, że owszem, pan mecenas Szczepański słucha Wolnej Europy i komentuje jakieś... To kazali mi podpisać zobowiązanie, że będę donosił. „I masz 300 złotych, podpisz to, że otrzymałeś”. Podpisać, podpisałem, ale 300 złotych nie dali. Mówi: „Jak następny meldunek dasz, to dostaniesz podwójnie”. Następnego meldunku już nie było ani pieniędzy, tylko pod oknem tu bardzo często pan Król, on się nazywał Król, ten ubowiec. Nazwisko zapamiętałem, imienia to nie wiem, nie pamiętam. To pod oknem tutaj wystawał. Teściowa mówi, bo też za ścianą mieszkaliśmy tu, mówi: „Jakiś facet na ciebie tam czeka”. Ale jak on tu chciał wejść czy coś takiego, to go nie wpuściła, powiedziała: „Nie ma, wyszedł”. To znaczy, że jak chciał się ze mną spotkać, to mówiła: „– Nie ma, wyszedł. – A gdzie?” „Nie wiem, skąd ja mogę wiedzieć. Ja za zięciem nie chodzę”. Była dosyć ostra na to. No ale w IPN-ie jestem jako z nieczystym sumieniem. – Panu coś potem pokażę. – Ale lepsze numery ja panu powiem. Jeden z panów, który donosił, nie na mnie, ale na jedną z pań, która tam była aresztowana, z panią Danutę Horvat, meldunek. Ja w IPN widziałem ten meldunek, bo oglądałem go, ale to w Warszawie. Ale ten, który ten meldunek składał, to były zakreślone na czarno. Tak że nazwiska czy tam imienia nie ma. Ale temu pracownikowi z IPN-u ja mówię, ja mogę panu podać, kto to jest. „A skąd?” Ja mówię. „Marek Waligórski”. „A skąd on?” „Niech pan teraz...” Pod tym widać cyfry, litery. I jak ja podałem, mówi: „No zgadza się”. Jeszcze wróć na chwilę do śledztwa. Czy pan pamięta nazwiska śledczych, którzy bili pana, znęcali się?

Karol Litwin: Nie pamięta pan ich?

Włodzimierz Korsak: Jedynie tylko tego małpiszona, a innych to nie. Raz, że nie widziałem. Czy pan się z „Jarem” spotykał? Po wyjściu z więzienia, czy pan się ze swoim dowódcą, z „Jarem” spotykał? Z Olejniczakiem? To były spotkania raczej takie sporadyczne. Nie to, że przypuścmy, utrzymywać kontakt. Między innymi wiem, że był, w tym Nałęczowie dom kupił, znaczy plac kupił, później dom kupił. Malował, rzeźbił. Ale to raczej były takie, nie utrzymanie ciągłości jakiejś, tylko to sporadyczne, przez przypadek. Na ulicy spotkaliśmy, jak byłem w Nałęczowie. Przecież z dziećmi bardzo często jeździliśmy do parku, bo było łatwiej tam wypocząć. Natomiast nawet taka drobna rzecz, w Nałęczowie w parku było masę kasztanów. Z tą starszą córką jeździliśmy z żoną zbierać kasztany. Spotkaliśmy się w parku, „A, cześć, cześć”, rozmawialiśmy. „– Może byś wpadł. – Nie, my teraz kasztany zbieramy”. Ja nie utrzymywałem bliższych takich stosunków.